

CZARNE
SOMBRERO
Z ORLIM PIÓREM

Chciałbym wyrazić wdzięczność mojej żonie, która wytrwale
słuchała mnie i wspierała podczas pracy nad powieścią.

Marek Bahdaj



ADAM
BAHDAJ

MAREK
BAHDAJ

CZARNE

SOMBRERO

Z ORLIM PIÓREM



Adam Bahdaj



Część
pierwsza

Adam Bahdaj
Marek Bahdaj

Czarne sombrero z orlim piórem

Niepublikowana dotąd powieść Adama Bahdaja

© by Adam Bahdaj
© by Marek Bahdaj
© by Wydawnictwo Literatura

Okladka: Katarzyna Kołodziej

Korekta i skład: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024
ISBN 978-83-8208-258-6

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

TANIEC WOJENNY

I

– Wattson, kiedy dowiedziałeś się, że ten przeklęty skarb Czejenów jest w ich rękach? – Słowa pułkownika Burnby'ego raziły jak pociski. Kapitan wyprężył się.

– W tym samym dniu, panie pułkowniku, kiedy wigilanci wraz z Czejenami rozbili bandę Siwego Eda.

– To pięknie... I kto ci o tym powiedział?

– Niejaki Jonathan Kerr...

– Co to za jeden?

– Człowiek z Florence. Podobno podejrzany o sprzyjanie Siwemu Edowi.

– Gdzie to było?

– Jakies pięć mil przed Florence. Jechaliśmy z zadaniem okrążenia i zniszczenia silnej grupy Czejenów pod wodzą Czarnego Jelenia.

Pułkownik zerwał się z krzesła. Zdawało się, że rzuci się na podwładnego z pięściami. Zatrzymał się jednak przed nim i cisnął przez zaciśnięte gniewem zęby:

– To jeszcze piękniej! Zamiast ścigać tych śmierdzących dzikusów, szukałeś Rona Hogana.

Kapitan cofnął się o pół kroku. Jego gładko ogolona twarz zapłonęła rumieńcem.

– Pan wybaczy, pułkowniku, ale...

– Czy wiesz, coś zrobił? – przerwał mu Burnby.

– Chciałem się dowiedzieć od Hogana, komu oddał tę skrzynię.

– I zamiast się dowiedzieć, pozwoliłeś mu uciec. A teraz nie mamy ani złota, ani Rona Hogana.

Burnby posłał Wattsonowi pełne złośliwej drwiny spojrzenie. Opuścił chwilę głowę, jak gdyby sam był przytłoczony niepomyślnymi wiadomościami, lecz wnet wyprostował kark i rzekł niemal szeptem:

– Czy zdajesz sobie sprawę, co ci grozi?

Wattson przygarbił się na chwilę i utkwiał wzrok w zakurzonych czubkach butów.

– Dlaczego milczysz? – zapytał jeszcze ciszej zwierzchnik.

– Myślałem, że Hogan jako biały, a do tego Jankes, pomoże nam.

– To tylko tobie coś podobnego mogło przyjść do głowy – rzucił pułkownik nieco głośniejszym głosem i splótłszy na piersi ręce, jął krążyć wokół stołu. Kapitan jak słońce za słońcem obracał się w jego kierunku. Twarz miał purpurową, oczy mętne jak u strofowanego smarkacza. I dyszał ciężko. Nagle pułkownik zatrzymał się przed nim. Chwilę badał go ostrym spojrzeniem.

– I co myślisz teraz zrobić?

– Ściągać Czejenów.

Pułkownik zaśmiał się złośliwie.

– Wspaniały pomysł. Myślisz, że oni na ciebie czekają? Zastanów się, człowieku, co mówisz. Znasz chyba tych dzikusów. Potrafią być przebiegli. Chodzi o to, żeby tymczasem uspić ich czujność, a dopiero potem...

– Dowiedzieć się, co zrobili ze skarbem, ewentualnie... gdzie go ukryli – dokończył ze służbową gorliwością kapitan.

– Brawo, Wattson. To twoja pierwsza mądra myśl w naszej rozmowie. – Nagle wyprężył się, chwycił kapitana za guzik bluzy.

– Masz szczęście, że znam cię od dawna. Gdyby nie twoje zasługi i wojenne odznaczenia, zdegradowałbym cię przed własnym oddziałem. – Pchnął go lekko, okrążył stół i usiadł na krześle.

– A teraz słuchaj uważnie. Ty spartaczyłeś tę sprawę i ty ją musisz naprawić.

– W tej chwili, panie pułkowniku! – rzucił niemal służalczo Wattson.

Pułkownik uspokoił go machnięciem ręki.

– Nie gorączkuj się. Musisz się zrehabilitować, dlatego daję ci niezwykle ważne zadanie... – zawiesił głos i spojrzał dociekliwie. Kapitan pod jego spojrzeniem wyprężył się tak mocno, że na plecach pękł mu szew oficerskiej bluzy.

– Słucham, panie pułkowniku.

– Przydzielę ci dwóch ludzi: sierżanta Gaila i Pearsona, wiesz, tego Metysa, przewodnika. I jeszcze jednego... Juanitę Conturasa, tego meksykańskiego chłopca, który opiekuje się u nas końmi. On będzie waszym łącznikiem. – W jego ciemnych oczach przygasał nieco ogień gniewu. Przejechał wolną dłonią po krawędzi stołu i podsunął bliżej notes oprawny w skórę krokodyla. – Będziecie działali w cywilu, żeby nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Masz dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się skarb... To pierwsze zadanie. Drugie – zastanawiał się chwilę – to trzeba za wszelką cenę aresztować Hogana...

– To już moja osobista sprawa – wtrącił Wattson. – Ręczę, że niedługo będzie zażywał wolności.

Pułkownik uśmiechnął się kącikiem ust.

– Nie bądź taki pewny. To człowiek pełen inteligencji i polotu. Przypuszczam, że po ucieczce z Florence dołączył do Indian.

– Tym gorzej dla niego. Niech pan będzie spokojny, panie pułkowniku, postaram się wnet go tu przyprowadzić.

– To jedyna twoja szansa.

– Znam doskonale całą okolicę i nie dam mu się wymknąć, a tych zbuntowanych Czejenów jak barany zapędzę do rezerwatu, a potem postaram się, żeby za długo tam nie siedzieli.

Pułkownik przymknął lekko oczy.

– O to właśnie chodzi. – Wyjął z szuflady starannie zapieczętowaną kopertę. – Tu masz adresy naszych agentów. Jeśli będziesz miał jakiegokolwiek kłopoty, możesz się do nich zgłosić, podając umieszczone na liście hasło. W razie potrzeby możesz się meldować dowódcom stacjonujących w tej okolicy oddziałów. Czy zrozumiałeś, Wattson?

– Tak, pułkowniku. Chciałem jedynie zapytać, w jaki sposób mam podejmować gażę... dla mnie i moich podwładnych.

Pułkownik wysunął boczną szufladę. Wyjął z niej drugą, większą kopertę. Wążąc ją chwilę w dłoni, wyjaśnił:

– Tu masz gażę za trzy miesiące, a jeżeli zabraknie ci pieniędzy, to zawiadom nas przez łącznika. Pamiętaj, że pieniądze najłatwiej otwierają ludziom usta. Ubrania i potrzebny sprzęt odbierzesz od kwatremistrza. I jeszcze jedno: mów ludziom, że zwolniono cię z wojska za...

– Za niewykonanie obowiązków służbowych.

– Właśnie o to mi chodzi. Wszystkie wiadomości będziesz kierował do mnie. Nie chciałbym, żeby ta sprawa stała się przedmiotem plotek. Rozumiesz?

Wattson stuknął obcasami.

– Tak, panie pułkowniku.

II

Po granicach śnieżnych szczytów przebiegły świetliste błyski i nagle spoza gór na szare niebo trysnęły słoneczne promienie, a za chwilę całą okolicę zalał delikatny blask słońca. W jego

cieple topiły się rozwleczone po skalnych rozłogach mgły, a krwiste stoki pokazały swe oblicza. Trzy orły wzbily się nad upłazy i niewidzialnymi kręgami opasywały położone niżej obłe wzgórze. Gdzieś spod piarzystego żlebu potoczyły się drobne kamienie. Zagrzechotały sucho i przeciągle.

Hogan ocknął się z dręczącej go drzemki. Rozejrzył się. Zobaczył przeskakujące ze skalnej grzędy na grzędę stado śnieżnych baranów, a wśród nich podobne do kłębków wełny jagnięta. Widok ten wybił go z dręczącego go półsnu. Wyprostował się w siodle, przeciągnął i ziewnął. Na ten dźwięk idący stępa koń przyspieszył. Pod jego kopytami zachrząścił drobny żwir. Jeździec, stając w strzemionach, szukał wzrokiem ukrytego wśród wielkich skał domu Jankinsa, znanego jako Milczące Usta.

Jechał całą noc i nie mógł zaznać spokoju. Dręczyły go koszarne zwidy i bolesne dociekania. Pierwszy raz był poza prawem. Od chwili, kiedy udało mu się w cudowny niemal sposób uciec z domu sędziego, męczyła go boleśnie myśl, że popełnił błąd. Ale jaki? Tego nie mógł dociec; bo gdyby został i dał się aresztować, stanąłby przed sądem wojskowym i nie wiadomo, czym by się ta rozprawa skończyła. Chodziło przecież o ogromny skarb, z utratą którego wojsko nie mogło się pogodzić. Wyczytał to z oczu kapitana i z tonu, jakim doń się zwracał. Dla niego oddanie skarbu Czejenom było najsprawiedliwszym rozwiązaniem; dla nich ciężkim przestępstwem. Jako prawnik rozumiał jednak, że skoro prawo stanu Kolorado każdą znalezione lub wykopaną z ziemi rzecz uznaje za własność stanową, czyli publiczną, on, działając nawet z najszlachetniejszych pobudek, wchodził w kolizję z prawem. Nie mógł sobie poradzić z tym nieoczekiwanym konfliktem interesów. Miał również kłopoty z natrętnym pytaniem – co dalej robić?

Kiedy wzburzony uciekał z domu sędziego Donglasa, był przekonany, że dołączy do oddziału Czarnego Jelenia i będzie

bił się o prawa Indian, lecz w miarę oddalania się od Florence nachodziły go rozmaite wątpliwości: a nuż Czarny Jeleń nie przyjmie go? Do tej pory bowiem rzadko zdarzało się, by biały człowiek z bronią w ręku walczył przeciwko swym pobratymcom. Bratanie się z Indianami było uważane za hańbiące. Wprawdzie wśród białych spotykało się sporo pięknoduchów, może nawet ludzi wspomagających Indian, lecz ogromnie rzadko ktoś chwycił za broń, by walczyć za ich sprawę.

Spośród zwalisk skalnych i karłowatej sośniny wyłonił się dach domu Jankinsa. Hogan jeszcze raz przeciągnął się. Poczul szybszy rytm serca i z jego myśli pierzchły nękające go wątpliwości. Srokosz wyczuł jeźdźca i bez zachęty jął raźniej wspinać się pod stromiznę. Kiedy osiągnęli przechył zbocza, Hogan z radością ujrzał stojącego w drzwiach Jankinsa, a obok niego starą Indiankę. Zdjął z głowy czarne sombrero i wywijając nim w powietrzu, zawołał:

– Witajcie, przyjaciele! Pokój wam!

Jankins rzucił się na spotkanie.

– Witaj, niech Bóg prowadzi cię bezpieczną drogą – przywitał go dawnym zwyczajem.

Uściskali się mocno, a gdy stanęli przed Indianką, ta wyciągnęła ku Hoganowi ręce, przymknęła powieki i jęła mówić coś po indiańsku.

Jankins wyjaśnił:

– Wita cię w progu naszego domu, życzy ci szczęścia i prosi, żebyś się czuł u nas jak u siebie.

Weszli do zasłanej skórą izbą. Hogan z rozkoszą osunął się na ławę. Dopiero teraz poczuł cały znój długiej i trudnej drogi.

– Ron – powiedział Milczące Usta, siadając obok niego – masz niezwykłą zdolność zmartwychwstawania. Przyjacielu, znowu dochodziły do nas wieści, żeś zginął.

Hogan uśmiechnął się skąpo.

– Kto ci to mówił?
– Zajechał tu patrol wojskowy. Jeden z żołnierzy opowiadał, że jego dowódca chciał cię aresztować.

– Zgadza się.

– I podobno uciekłeś z domu sędziego.

– Jak mnie tu widzisz...

– I że podczas ucieczki trafiła cię kula...

– To już czyste kłamstwo.

– A my tu ze Stokrotką prosiliśmy Wielkiego Ducha, by ci przydzielił najlepsze łowiska. – Naraz złapał go mocno za ramiona i potrząsnął. – Przyjacielu, mów, co się z tobą działo!

Hogan przymknął oczy.

– Opowiem wszystko, ale najpierw daj mi się wyspać.

Kiedy się obudził i wygrzebał spośród miękkich i delikatnych jak jedwab skór śnieżnych baranów, ujrzał nad sobą Stokrotkę. Indianka patrzyła na niego tak czule jak na syna. Podała mu Iniany ręcznik i wskazała na drzwi prowadzące do sieni.

– Ciepła woda... dobrze mycie... w cebrzyk zaparzony zioła... dobrze zioła na zmęczenie – mówiła wolno, jak gdyby angielskie słowa nie chciały jej przejść przez gardło.

Hogan na chwilę przymknął powieki. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Po chwili roześmiał się głośno.

– To ty, Stokrotko!

Gdy otworzył oczy, Indianki już nie było. Doznał takiego wrażenia, jak gdyby duch przemknął przez izbę. Rozejrzał się. Było zupełnie ciemno, tylko z kamiennego kominka bił nikły blask od dogasających bierwion. Po chwili z drugiego kąta usłyszał tubalny głos Jankinsa:

– Kąpiel gotowa, jaśnie panie.

– Która to godzina?

– Tu czas liczy się według pór dnia. Jest środek nocy.

Hogan przetarł oczy.
– To sobie zdrowo pospałem.
– A chrapałeś – zaśmiał się Jankins – jak niedźwiedź. I wykrzykiwałeś coś przez sen.
– Co?
– Nie mam pojęcia. Raz tylko zrozumiałem, że rozmawiałem z Czarnym Jeleniem.
– Taaak? – udał zdziwienie.
– Tak, tak – potwierdził żartobliwie stary traper. – A teraz, mój przyjacielu, do cebrzyka, bo woda ci wystygnie.
Po ciepłej kąpieli i zdrowym posiłku usiedli na ławie, a Hogan zaczął opowiadać o zdarzeniach minionych dni. Myśliwy słuchał go uważnie. Czasem wtrącił słowo, czasem przerwał opowieść pytaniem, a kiedy Ron skończył, po chwili namysłu powiedział:
– Przyjacielu, nie zazdrościsz ci. Znalazłeś się w paskudnym położeniu.

III

Kapitan Wattson zakolała do drzwi.
– Wejść! – usłyszał mocno brzmiący głos Sama Collinsa. Pchnął drzwi, a kiedy stanął w progu, ujrzał za stołem zwałistą, mocną postać nowego szeryfa. Ten chciał coś powiedzieć, lecz gdy ujrzał kapitana w cywilnym ubraniu, słowa utknęły mu w gardle.
– Nie dziw się – rzucił Wattson niemal przyjacielsko. – Właśnie wczoraj pułkownik zwolnił mnie dyscyplinarnie z wojska.
– Pana, kapitanie? – wyszeptał zdumiony. – A właściwie za co?
– Nie znasz pułkownika. On od dawna nosił do mnie urazę. Teraz skorzystał, by mnie posłać na zieloną trawkę.
Z jasnej twarzy szeryfa nie znikło zdumienie.
– A co pan właściwie przeskrobał?

– Sam, nie udawaj, że nie wiesz.
– Przecież był pan bardzo gorliwy. Chciał pan aresztować najuczciwszego ze znanych mi ludzi.
– Myślisz o Hoganie?
– Tak.
– I mówisz, że chciałem... W tym właśnie tkwi cała zagadka. Chciałem, ale on uciekł.
– A co miał robić? Czekać, aż go postawicie przed sądem wojskowym?
– Pułkownikowi o to właśnie chodziło. Posądza mnie, i to słusznie, że pozwoliłem mu uciec. – Nieproszony podsunął krzesło i usiadł naprzeciw szeryfa. Na chwilę zamyślił się, czekając, co powie Collins, lecz gdy ten okazał się oszczędny w słowach, zrobił skwaszoną minę i rzucił: – Będę z tobą szczery. Ja... rzeczywiście pozwoliłem mu uciec.
Collins zaprzeczył żywo.
– Nie, kapitanie, pan przecież strzelał do niego.
Wattson zmrużył znacząco oko.
– W powietrze, przyjacielu... w powietrze... żeby ludzie słyszeli. Żał mi go było, bo to przecież porządny człowiek. Ale pułkownikowi chodzi nie tylko o Hogana. Najbardziej złościło go to, że skarb dostał się w ręce Czejenów.
– A komu Hogan miał go oddać?
– Według prawa powinien zwrócić go nam albo tobie.
– Przecież to złoto należało do Czejenów.
– Przyjacielu, choć jesteś szeryfem, nie znasz prawa – rzucił kąśliwie. – Ale ja ciebie rozumiem. Jesteś nim dopiero od niedawna. Masz jeszcze czas na zapoznanie się z kodeksem... Ale prawo jest prawem...
Sam spojrzął na gościa niechętnie.
– A właściwie to o co panu chodzi?
Przez starannie ogoloną twarz kapitana przemknął cień zakłopotania.